

DZIENNIK WILEŃSKI

Adres Redakcji i Administracji: Dominikańska Nr. 4.

Redakcja otwarta od godz. 2 — 4 po poł.

Administracja otwarta codziennie od g. 10 do 6 wiecz., w niedziele od 1 — 2.

WARUNKI PRENUMERATY w Redakcji: Rocznie—12 mk., półrocznie—6 mk., kwartalnie—3 mk., miesięcznie—1 mk. **Z przesyłką:** Rocznie—14 m. 40 fen., półrocznie—7 m. 20 fen., kwartalnie—3 m. 60 fen., miesięcznie—1 m. 20 fen. **Zmiana adresu—20 fen.**

CENY OGŁOSZEŃ: Na 4-ej str. za wiersz drobnego druku—25 fen., nekrologi—60 fen. Ogłoszenia drobne za wyraz—5 fen. Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Dziennika Wileńskiego” do godz. 4 po poł. Po godz. 4-ej nekrologi i inne niecierpliwie zwłoki zawiadomienia przyjmuje drukarnia ks. A. Rutkowskiego, Królewska (Botaniczna) № 7.

Numer pojedynczy 6 kop. = 10 fen.

Gazeta wychodzi codziennie—z wyjątkiem dni poświątecznych.

TELEGRAMY.

(W. T. B.)

KOMUNIKAT URZĘDOWY NIEMIECKI.

Kwatera główna 23 grudnia.

FRONT ZACHODNI.

Armia generała-feldmarszałka księcia Albrechta Wirtemberskiego.

W zakręcie rzeki Ypres i Wytschaete walka artylerji dosięgła wczoraj niezwykłego napięcia. Na południow-schód od Ypres atakowały wczoraj wojska angielskie. Zostały one odparte przeważnie ogniem; na jednym miejscu w walce ręcznej.

Na południe od Boesinghe kilka oddziałów przednich wdarło się do nieprzyjacielskich okopów, poczem wrócili z jeńcami, karabinami maszynowymi i inną zdobyczą.

Grupa wojsk następcy tronu

Na froncie Champagnji i Mozy umiarkowana działalność ogniowa.

W Wogezach na północy zachód od Münsteru niemieckie patrole zniosły posterunek francuski.

Około Frapelle, na wschód od St. Die i na południe od kanału, łączącego Ren z Rhoną, odparte zostały oddziały francuskie, które próbowały zaatakować po silnem przygotowaniu za pomocą ognia artylerji.

FRONT WSCHODNI.

Front wojsk generała-feldmarszałka księcia Leopolda Bawarskiego.

Nic szczególnego.

Front wojsk generała-pułkownika arcyksięcia Józefa.

W Karpatach lesistych kilkakrotnie operacje oddziałów wywiadowczych, podczas których wzięto jeńców i karabiny maszynowe.

Na południe od Mestecanesti austro-węgierskie wojska odebrały Rosjanom niedawno ustąpioną pozycję.

Grupa wojsk generała-feldmarszałka v. Mackensena.

W Dobrudży wojska sprzymierzone zaatakowały kilka pozycji rosyjskiej arjergardy; zajęły Tuleca nad dolnym Dunajem.

Liczba jeńców wzrosła do 1600 przeszło. Zdobyto kilka karabinów maszynowych.

Front Macedoński.

Nad jeziorem Dojran walka artylerji, w dolinie Strumy utarczki przednich straży.

Pierwszy generał-kwaternistrz Ludendorff.

KOM. URZĘD. AUSTR.-WĘGIERSKI.

Wiedeń, 22 grudnia.

FRONT WSCHODNI.

Na odcinku Mestecanesti wojska austro-węgierskie odparły natarcia rosyjskie.

FRONT WŁOSKI

POŁUDNIOWO - WSCHODNI.

Nic szczególnego.

Zastępca szefa sztabu generalnego v. Hoefler
Feldmarszałek-leutnant.

BERN (23 grudnia).

Komunikat szwajcarskiej agencji telegraficznej.

Wczoraj, dn. 22 grudnia 1916 r. Rada związkowa szwajcarska wystosowała do rządów państw wojujących następującą notę:

Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, z którym Rada Związkowa Szwajcarii, kierowana gorącym pragnieniem rychłego ukończenia wojny, dość dawno już weszła w porozumienie, był tak uprzejmy zakomunikować Radzie notę, wręczoną rządowi państw neutralnych oraz koalicji.

W nocie tej zaznacza prezydent Wilson jak bardzo pożądane są międzynarodowe układy w celu trwałego i pewnego uniknięcia podobnych katastrof, jak ta pod której ciężarem dziś narodziła się. W związku z tem prezydent podkreśla potrzebę zakończenia obecnej wojny.

Nie stawiając propozycji pokojowych i nie ofiarując pośrednictwa swego ogranicza się on na sondowaniu sprawy czy ludzkość może mieć nadzieję, że się zbliżyła do błogosławionego pokoju.

Niezwykle godna, osobista inicjatywa prezydenta Wilsona odbije się

potężnem echem w Szwajcarii. Wierny zobowiązaniom swoim wpływającym z potrzeby utrzymania jak najściślejszej neutralności związany równemi więzami przyjaźni z obydwiema wojującymi grupami mocarstw, jak wyspa pośród wzburzonego morza strasznej walki narodów, w najdotkliwszy sposób zagrożony i dotknięty, kraj nasz ogarnięty jest głęboką tęsknotą pokoju i gotowy zarazem współdziałać o ile na to pozwalają słabe siły jego, by koniec położony okropnościom wojny, które poznaliśmy codziennie stykając się z internowanymi, ciężko ranionymi i ewakuowanymi — i stworzyć podstawę owocnej współpracy narodów.

Wobec tego szwajcarska Rada Związkowa radośnie korzysta ze sposobności, by poprzeć inicjatywę prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Rada uważałaby się za szczęśliwą, jeżeliby mogła być w jakiegokolwiek, choć skromnej formie pomocną w celu zbliżenia narodów walczących i przybliżenia trwałego pokoju.

BERLIN (23 bm.) «Dagens Nyheter» dowiaduje się jakoby ze źródła kompetentnego, że w Kopenhagrze, w najbliższym czasie ma się odbyć **nieoficjalna konferencja pokojowa**, w której udział wziąć mają akredytowani tam posłowie państw wojujących, celem omówienia możliwości oficjalnych pertraktacji pokojowych niezależnie od odpowiedzi angielskiej na notę pokojową.

KRYSTJANJA (23 bm.) Korespondent «Aftenposten» donosi z Londynu: z powodu mowy posła liberalnego prof. Lees Smith, który służył jako kapral w armji angielskiej we Francji i który oświadczył, że wszyscy żołnierze armji angielskiej we Francji jednomyślnie pragną rozpoczęcia pertraktacji pokojowych, odpowiedział Bonar Law: Jeżeliby taki pogląd stał się dominującym w narodzie angielskim, to cała krew, którą Anglja w wojnie tej poświęciła, na próżno została przelana.

BUDAPESZT (22 bm.) Minister finansów przedłużył termin dla zapisywania się na piątą pożyczkę węgierską do 8 stycznia 1917 r. włącznie.

BERN (21 bm.)

Jak dowiaduje się «Zürcher Tagesanzeiger» dotychczasowy francuski dowódca naczelny na froncie nad Sommą, generał Foch, pozostawił to stanowisko, i objął dowództwo nad armją w Wogezach. Dowódcą 3-ej armji francuskiej, które zajmuje stanowiska pomiędzy Reimsem a Sommą, został mianowany generał de Castelnau.

Pokój ludziom dobrej woli.

Błogosławieństwo pokoju ci tylko docenić i zrozumieć są w stanie, którzy poznali całą okropność wojny. I o niem da się powtórzyć słowo Mickiewicza, że jest jak zdrowie: «ile cię cenić trzeba ten tylko się dowie, kto cię stracił»...

Zrodzeni, wyrosli w warunkach względnie normalnych, pokojowych ustami jeno wymawialiśmy słowa modlitwy «Od powietrza, głodu, ognia i wojny»... serce milczało, gdyż nie rozumiało głębokiego znaczenia tej błagalnej prośby.

Nauczyła nas najsurowsza z mistrzyń—wojna. Dzisiaj świat cały z gorącym upragnieniem, z tęsknotą wyczekuje tego pokoju jak niebieskiej rosy.

I oto w takiej chwili zjawia się niby dar najpiękniejszy gwiazdkowy nota Wilsona, jako pierwszajpoważna zapowiedź wyrażającej już zarysującego się pokoju.

Niedoceniać tej akcji niema możliwości.

Jakkolwiek Wilson uroczystie wypiera się wszelkiego związku z peczynionymi dotychczas krokami — z notą niemiecką oraz odpowiedzią Lloyd Georgesa — trudno przypuścić, aby akcja, podjęta przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, wyssana została z palca — musi ona mieć niewątpliwie swą stronę zakulisową, o której trudno mówić, gdyż jest ona starannie przed okiem świata ukryta. Lecz i to, co się publikuje do ogólnej wiadomości, jest wystarczającym, by na tem poważnie oprzeć nadzieje.

Więc przedewszystkiem winniśmy zdać sobie sprawę, że nie mamy tu do czynienia z artykułem dziennikarskim nieodpowiedzialnego publicysty, że nota pochodzi od przedstawiciela jednego z najpotężniejszych i najbardziej zainteresowanych mocarstw, łatwo więc zrozumieć, że tu każde słowo zostało najdokładniej zważone i odparte na pewnych fundamentach. Nie mamy możliwości dziś dać szczegółowego rozbioru tego historycznego aktu, pragnęlibyśmy tylko podkreślić kilka bardziej charakterystycznych zwrotów.

Nota jest zredagowana w słowach

niecierpliwie ostrożnych—tem większa tedy gwarancja, że niemamy tu do czynienia ze zdawkowymi frazesami, że każdy zwrot kryje głębokie znaczenie.

Jeżeli Wilson powiada:

«Być może warunki, co do których obydwie strony wojujące uważają za konieczne obstawać nie są tak bardzo różne i do pogodzenia niemożliwe, jak się niektórzy obawiają»—to trudno przypuścić, aby to było zwykłym tylko przypuszczeniem, w każdym razie Wilsonowi, jako przedstawicielowi mocarstwa neutralnego, łatwiej niż komukolwiek było zajrzeć za tajemniczą kotarę, ukrywającą te warunki ze stron obu i jeżeli zdecydował się wypowiedzieć frazes powyższy, to miał niewątpliwie poważne ku temu podstawy.

Jeżeli prezydent podkreśla, że zdecydował się na ten krok nie tylko jako przyjaciel—lecz przede wszystkim może jako przedstawiciel państwa «bardzo zainteresowanego co do rychłego zakończenia wojny», państwa, które «gotowe jest a nawet pragnie gorąco wszelkimi rozporządzalnymi wpływami i środkami współdziałać dla osiągnięcia tego celu»—to należy te słowa w ten sposób zrozumieć, że państwo to potrafi też w razie potrzeby, olbrzymi wpływ swój rzucić na szalę wypadków.

Że Ameryka jest najbardziej może zainteresowana w sprawie pokoju, łatwo zrozumieć, jeżeli się zważy jak olbrzymie sumy winna jest koalicja Stanom Zjedn., sumy, które byłyby zaprzepaszczone w razie bankructwa

dłużników. Ameryka jest ogólnym kredytorem i nie lubi przeciągać struny. Że zaś wpływ Ameryki — o ile użyć jego zechce — decydujące może mieć znaczenie, dość powiedzieć, że koalicja większość swych zapasów wojennych czerpie z za oceanu. Wystarczy, aby Ameryka zamknęła swój wywóz, a wojna stanie się niemożliwą.

Jeżeli dalej prezydent szeroko przedstawia całą zgubność walki «do ostatecznego wyczerpania», to i to oczywiście jest czemś więcej, niż zwrotem krasomówczym, nareszcie przypuszczenie: «być może pokój jest bliższy, niż się spodziewamy», nie wypłynął chyba wyłącznie z chęci podrażnienia naszych nadziei.

Takie jest stanowisko Ameryki. Pytanie: czy jednak w samej Europie dojrzało już żniwo pokoju? Pesymiści i niepoprawni teoretycy są zdania, że w trzecim roku wojny nie posunęliśmy się dalej, niż byliśmy w pierwszych jej miesiącach, ponieważ ich zdaniem nie zaszły jeszcze dość decydujące fakty.

Zaszło jednak coś bardziej ważnego: zmiana poglądu wśród szerokich i najszerzych warstw, których najbardziej wyrafinowana agitacja już otumanić nie zdoła.

Dziś chyba nikt już nie wierzy o złamaniu militarystyki za pomocą militarystyki, o obronie słabych państw—drogą ostatecznego ich wyniszczenia.

Obłudne frazesy te rozwiła wicher wojenny jak liście jesienne — niewzruszona tylko jak zawsze została jedna prawda, która zwycięży

musi właśnie dlatego, że jest prawdziwą i że jest wieczną.

Dziś ludzkość, syta zniszczenia, pragnie budować, budować na trwałych fundamentach — gdzieś znajdzie inne, trwalsze nad opokę Chrystusową?

Zrozumienie tej prawdy coraz głębiej sięga do serc i umysłów—trzeba tylko dobrej woli, by się w czyn zmieniło.

Z łask, które spływają na nas z Krzyża Chrystusowego, dobra wola — obok wiary — jest najpotężniejszą może dźwignią świata. Jeżeli bowiem wiara w stan jest góry poruszać — dobra wola przez najgłębsze przepaście przerzuca swój most zbawczy.

Bez dobrej woli żadne dobre dzieło nie może być dokonane—przy dobrej woli—zwłaszcza zobopólnej—nie ma takiej trudności, którejby pokonać nie można było.

To też dziś, gdy się rodzi Odkupiciel Świata, nie prosimy Go o siłę—poznaliśmy jej nicość. Prośmy Go o dobrą wolę—w tem dziś jedyne może, ostatecznie zbawienie skołatanej ludzkości.

J. O.

Nadzieja.

Tegoroczne święto Bożego Narodzenia, trzecie już podczas wojny, obchodzić będziemy z nadzieją, że następna Gwiazdka w 1917 roku wzędzie już za czasów pokoju. Niesłychana w dziejach ludzkości krwawa wojna, która już przeszło dwa lata pustoszy Europę i dotyka swemi mac-

kami wszystkich pozostałych lądów wojna, którą nasz kraj szczególnie odczuł, zbliża się wreszcie ku końcowi. Kiedy w dniu 12-go bm. ludy Europy dowiedziały się, iż jedna ze stron walczących zaproponowała rozpoczęcie rokowań pokojowych, we wszystkich wstąpiła otucha i nadzieja. Wprawdzie ciężko wojna dała się we znaki, ale przecie z pomocą Bożą, stanawszy do pracy, wkrótce możnaby ślady jej zatrzeć, tembardziej, że mogą nastąpić dla niektórych narodów nowe warunki życia politycznego i narodowego, warunki lepsze i więcej rozwojowi sprzyjające, a w takim razie każdy wysiłek daleko będzie owocniejszy i większe rezultaty wyda.

Następne dwa tygodnie po ogłoszeniu propozycji pokoju to czas wy-czekiwania odpowiedzi ze strony przeciwniej, okres wahań między nadzieją i niepewnością. Głosy koalicyjnych mężów stanu, wynurzenia prasy czytane były chciwie, chciwie wyczekiwano decyzji, decyzji, od której zależeć będzie, czy na nowo strumienie krwi mają popłynąć, czy na nowo ty-siące istnień ludzkich padać ma w ofierze, czy też zaświta promień nadziei.

W chwili obecnej nie wiemy jeszcze dokładnie, jaka jest urzędowa odpowiedź koalicji na propozycję państw centralnych, aczkolwiek z wynurzeń angielskich, francuskich i włoskich mężów stanu wynika prawie napewno, że nie będzie ona kategorycznie odmowna, że pozostawi ona furtkę, umożliwiającą dalszą wymianę opinii i propozycję warunków pokojowych.

Niespodzianie zupełnie sytuacja znacznie się poprawiła przez zwrócenie się Stanów Zjednoczonych z notą do państw walczących. Nadzieje pokojowe obecnie ogromnie wzrosły i nawet bardzo wielcy sceptycy niewątpliwie dziś uwierzą, że pokój może być bardzo niedaleki.

„Niegramotne“.

«A gdy gryzę—sercem gryzę».
Słowacki.

Mimo pożogi wojennej gwiazda Wiligijna weszła nad miastem—długi stół szpitalny w opatrunkowej sali przybrał dnia tego staraniem «siostr» dobrych — odświętny wygląd. Nie brakło siana pod białym, jak śnieg, obrusem, ani żadnej z tradycyjnych potraw, spożywanych przy opłatku — zaczęwszy od śledzia z kapustą aż do klusek z makiem, sownie ocukrzonych, zwanych «ślezykami».

W powietrzu unosił się aromat ja-dła, mile łechcący powonienie biesiadujących nędzarzy.

Było ich kilkudziesięciu z różnych krańców Polski i Litwy. Gdy weszłam ostatnia wprost z zajęcia, siedzieli już wszyscy u stołu, spożywając w uroczystym skupieniu dary Boże. Twarze znane mi z niedzielnych dyżurów, wyglądały nadzwyczaj odświętnie. Niektóre wynędzniałe i wybladłe w długiej tułaczce po szpitalach, miały jakiś uroczysty, uduchowany wyraz, jakies zasłuchanie się w sobie, którego uprzednio na nich nie widywałam. Przykuwały wzrok ku sobie.

Żyłki dzwoniły o talerze, «siostry» same podawały potrawy jedne po drugich, liczone słowa zamieniali ze sobą niektórzy tylko z biesiadników, większość milczała w tęsknej zadumie o domu i o wiosce swojej. Aż najstarszy czy najwięcej bywały, z ziemi Mazurskiej, wstał i poprosił o głos.

Mówił płynnie i zwięźle, dziękując w swej śpiewnej mowie «siostram» za serdeczną opiekę i za wieczór dzisiejszy, który tu ich skupił, przypominając im progi rodzinne, po raz pierwszy od czasu, gdy ich powołano na bój... Wreszcie spytał, czy mogą zaśpiewać kolendy, według uświęconego zwyczaju.

Wstali wszyscy i popłynęła staropolska pieśń z wierzeń ludowych o Dzieciątku i Maryi, drżącymi ustami niewolnych śpiewana. Ciche, słabe były głosy, idące z osłabłych piersi, okrytych strzępem munduru żołnierskiego lub szpitalnym «chałatem». Ten i ów stał o kuli, innemu pusty rękaw zwieszał się u ramienia, innemu bielili się głowa lub palce w opatrunku merlowym aż po łokieć. Wszyscy jednak w kornej postawie łączyli swe drżące głosy ku chwale Najwyższego.

Oni! Nędzarze! rzućni na poniewierkę wichrom świata, jak liście zwiedle, od pnia oderwane. Niejeden wpatrywał się przed siebie nieruchomym, stępiałym wzrokiem bitego niewinnie zwierza. Niejeden grubym rękawem ocierał powieki. Niejedna pierś tłumiała szloch głuchy. Płakały «siostry» w głębokim odczuciu tej strasznej duchowej i fizycznej męki rodaków.

Gdy zamilkł śpiew, jeła któraś z nich rozdawać książeczki, piosenki, kalendarzyki z wizerunkiem Tej, «co w Ostrej świeci Bramie» i luźne obrazki. Rozchwytano wszystko z największą skwapliwością. Ale najliczniej wyciągały się dłonie po obrazki. «My niegramotne, prośe siostry»—szepotały sine wargi z niejakim zawstyżeniem i cichą w głosie skargą. «Niegramotne!»—te słowa ostrzem

sztyletu wbiły mi się w serce i jak jadowite żmije wgryzły w mózg, goniąc za mną po korytarzach i schodach szpitalnych aż na trzecie piętro, gdzie z opłatkami wigilijnymi przyklekałam między leżącymi na ziemi u wezłowia chorego, co miał jeszcze długą drogę do grobu. W wilji zbiorowej nie mógł już wziąć udziału, uśmiechnął się jednak na widok potraw tradycyjnych, uśmiechnął do druków, kiwając żalśnie głową i mdlejącą ręką sięgnął również po o-brazek tylko, przywarłszy doń spieczonemi ustami.

I ten był analfabeta.

Iluż więc takich? Ilu?

Czas leci, mijają lata i zimy, oni tam padają zawsze i krew nasza leje się zawsze na wszystkich szanckach świata. A wigilja owa na tle szpitalnem wstaje w mej pamięci wśród ciszy nocnej jak zjawia męczeńska ze scen dantejskich.

I zwracam od niej myśl swą rozpaczną ku wam, panie i panny, co z dumą «pracujecie» we własnem przekonaniu «nauczowo», «politycznie», «społecznie», «literacko»—czy ja wiem jak jeszcze!

I ku wam, pogrążonym w nieświadomej bezczynności własnego dobrobytu, coście sport uczyli z domów Bożych i z kornetów szarytek na za-lotnie ufrzyowanych głowach.

I ku wam, co na znak współczucia «cierpiącej Ojczyźnie» spowijacie w czarny kwef skroń pulsującą, wpinacie «jedną czarną wstążkę do sukienki», spijając dalej miody życia z najłodszych jego czar...

I ku wam, co całą Polskę widzicie w orzelkach, konfederatkach i ko-

kardach dwubarwnych, brak których to godeł wywieszanych na pokaz swego sentymentu—pochopniście nazwać «Targowicą».

I ku wam zwracam się, nie tyle młodzieńskim ile leciwszym nieco lato-rościom, coście się poraz pierwszy zakochały «w Ojczyźnie», ujrzawszy kilkunastu dziarskich chłopców z szabelkami.

I ku wam, co w żałobie dni narodowych obchodów tylko usta nie duszą rozpaczna śpiewacie: «od takich modłów biejeje włos». Tak, tylko usta...

Wolę nie kończyć, zwracając z kolei myśl umęczoną ku sobie z pytaniem, czyśmy wszystkie spełniły swój najpierwszy, najskromniejszy obowiązek Polki, czyśmy nauczyły chociaż jedno polskie dziecko—czytać?

— Nie? Nie? — To dla większości nas było za małe, za poziome, to nie był «czyn» to nie była «robota» to nie była «manifestacja». To tylko prosta niedostrzegalna praca drobno-u-strojów mikroskopowych to żadna sława!

I w zaślepieniu swem myśmy zapomnieli że tą właśnie pracą dźwigane są ze dna mórz wielkich wyspy koralowe, opierające się najmocniej rozbić przez morskie burze i wichry świata.

Myśmy o tem zapomnieli.

Więc bijąc się dziś w piersi nie zlorzczmy niczemu... i niech nam w duszach zostanie na wieki wyryty obraz tych tysięcy braci naszych co skonali na swej ziemi—«niegramotni».

N.

Noty prezydenta Wilsona nie należy oczywiście przeceniać. Nie proponuje ona jeszcze pośrednictwa pokojowego, nie żąda zwołania konferencji pokojowej i przewiduje tylko przedwstępny wymianę zdań. Nie wiadomo też, jak propozycję Wilsona przyjmą państwa walczące. W Niemczech oraz w krajach z nimi sprzymierzonych akcja Stanów Zjednoczonych powitana zostanie niewątpliwie życzliwie, w krajach koalicji natomiast przypuszczać należy, że podniosą się przeciw niej zarzuty, aczkolwiek niema mowy, aby potraktowana ona została wrogo.

Poza notą Ameryki stoi cały autorytet Stanów Zjednoczonych, autorytet państwa, które chociaż jest neutralne jednak i pieniędzmi i amunicją i żywnością zasila kraje koalicji. Anglia i jej sprzymierzeńcy z autorytetem Ameryki liczyć się muszą, tembardziej, że krok prezydenta Wilsona wywołany został nie tylko przez zamówienie Stanów Zjednoczonych do pokoju, i chęć położenia końca rozlewowi krwi.

Wielkie znaczenie dla politycznej doniosłości noty Ameryki mają wyjaśnienia Lansinga. Z wyjaśnień tych okazuje się, że Stany Zjednoczone z trudnością trzymają się neutralności i że z każdym dniem stoją bliżej wmięszania się do wojny. Wilson, proponując wymianę przedwstępnych opinii działa więc w poczuciu żywotnych interesów swego kraju i niewątpliwie potrafi energicznie je poprzeć i konsekwentnie w roli swej wytrwać.

Przez wystąpienie Wilsona sprawa zakończenia wojny weszła na drogę, gdzie przy dobrej woli obu stron udać się może wyrównanie najbardziej żywotnych interesów krajów Europy, a przez to samo zawarcie trwałego pokoju.

Obchodzimy więc tegoroczną gwiazdkę pod znakiem nadziei. Z. F.

Akcja pokojowa Wilsona.

Ocena noty Wilsona.

«Berl. Tag.» w artykule wstępnym, piora T. Wolffa, pisze, że krok prezydenta Wilsona, jak każdy inny krok, mogący przybliżyć pokój, przyjęty zostanie w Niemczech życzliwie.

W ocenie tego faktu należy zwrócić uwagę na pytanie, czy akcja prezydenta Stanów Zjednoczonych doprowadzi do praktycznego wyniku. «Berl. Tag.» zwraca uwagę, że prezydent Wilson świadom jest niewątpliwie wewnętrznej sytuacji i nastrojów krajów walczących i krok jego jest bardzo znamienity.

Przez wystąpienie Wilsona—oświadcza «B. T.»—rozpoczęły się pertraktacje pokojowe i już nie zostaną one przerwane.

«Voss. Ztg.» jest zdania, że nota Wilsona została wywołana przez nieprzejdane stanowisko Lloyd George'a. Autor artykułu, Jerzy Bernhard, jest zdania, że Ameryka we własnym interesie życzy sobie pokoju. Bernhard stwierdza, że krok Wilsona musi być przyjęty w Niemczech życzliwie, bo wszak Niemcy publicznie oświadczyli, że chcą wojnę zakończyć. Jeśli inne państwa ogłoszą swe warunki, to niema żadnego powodu, by Niemcy tego samego uczynić nie miały.

«Voss. Ztg.» jest zdania, że nawet gdyby rozpoczęły się rokowania pokojowe o zawieszeniu broni mowy niema. Niemcy nie mogą się zrzec swych prerogatyw natury wojskowej i dlatego wojna musi się toczyć dalej.

«Deutsche Tagesztg.» jest zdania,

że Ameryka zmuszona została do wystąpienia w obronie wspólnych anglo-amerykańskich interesów. Wyjaśnienia Lansinga co do noty Wilsona «Deutsche Tagesztg.» uważa za pogroźkę pod adresem Niemiec. Pogroźka ta polega jakoby na tem, że Stany Zjednoczone zapowiadają swe wystąpienie po stronie koalicji, o ile Niemcy swych warunków pokojowych nie ogłoszą, a rozpoczną bezwzględną walkę z Anglią na morzu.

«Lok. Anz.» ogranicza się tylko do krótkiej wzmianki o nocie, rezerwując sobie głos zasadniczy do chwili, aż otrzymany będzie kompletny tekst noty. Według «Lok. Anz.» dalszy rozwój sprawy zależy wyłącznie od zachowania się przeciwników Niemiec, którzy powinni teraz zabrać głos.

Prasa angielska o nocie Wilsona.

Według jednego z pism amsterdamskich gazety londyńskie piszą o nocie Wilsona w takim mniej więcej duchu: Mocarstwa koalicyjne niewątpliwie w ten sam sposób potraktują notę Wilsona, jak Lincoln podczas wojny amerykańskich Stanów północnych z południowymi traktował wszelkie propozycje pośrednictwa europejskiego. Aljanci nie mogą wcale dać posłuchu adwokatowi Wilsonowi. Wykażą oni w stosunku do Wilsona całą grzeczność, jaka mu się należy, ale nie potrafi on im przeszkodzić w obronie wolności narodów.

«Times» zaznacza, że nieoczekiwany krok Wilsona zaskoczył wszystkich znienacka, wobec tego zwłaszcza, że główne pisma amerykańskie powitały życzliwie odrzucenie przez Lloyd Georges'a niemieckich propozycji. Zdaje się, że Wilson nie ocenia należycie lepszej części amerykańskiej opinii publicznej.

Austro-Węgry.

Zmiana wspólnych ministrów austriacko-węgierskich.

Na mocy cesarskich dekretów odręcznych z d. 22 bm., zamieszczonych w «Wiener Zeitung», wspólny minister finansów, ks. Hohenlohe, na skutek swej próby otrzymania dymisję. Bar. Burjan również na skutek swej próby otrzymał dymisję ze stanowiska ministra dworu i ministra spraw zewnętrznych, natomiast zaś za stał mianowany wspólnym ministrem finansów.

Wreszcie hr. Czernin objął tekę ministra dworu cesarskiego oraz ministra spraw zewnętrznych i został upoważniony do przewodniczenia we wspólnej austriacko-węgierskiej radzie ministrów.

WIADOMOŚCI URZĘDOWE

Kurs pieniężny w Ob. Ost.

Kurs urzędowy 1 rb. = 1,90 marek.
Kurs rubla w operacjach bankowych:
100 rb. = 218 1/2 marek (proponowano)
100 rb. = 222 1/2 marek (sprzedawano)
Stopa procentowa kasy pożyczkowej 6 1/2%

OBWIESZCZENIE.

Zgodnie z Rozporządzeniem Nacz. Dow. Wsch. (des Oberbefehlshabers Ost, Verkehrspolitische Abteilung 3885/III) w nocy z dn. 24 na 25 ty grudnia 1916 r. dozwolone jest osobom cywilnym chodzenie po ulicach do godz. 2-ej rano.

Kaiserliches
Gouvernements.

OBWIESZCZENIE.

W celu sformowania cywilnego bataljonu robotniczego potrzeba 600 robotników. Odpowiednie męskie siły robocze wzywa się, aby się dobrowolnie zgłaszały do środy dn. 27-go grudnia 1916 r. do godz. 6-ej po południu w starym ratuszu, ul. Dominikańska 2, pokój 86.

O ile w czasie wskazanym nie zgłosi się dobrowolnie odpowiednia ilość sił roboczych, wtedy na podstawie dotychczasowego zbadania zdolności do pracy pociągnięta zostanie przymusowo konieczna ilość robotników.

Płaca dzienna dla dobrowolnych sił roboczych wynosi oprócz darmowego utrzymania i schronienia:

dla niezonatych robotników do 1 marki,
dla żonatych robotników do 1 m. 50 fen.

Natomiast przymusowo pociągnięci niezonaci robotnicy cywilni oprócz utrzymania i schronienia otrzymują tylko do 0,50 marki.

Sformowanie cywilnego robotniczego bataljonu nastąpi w dn. 2-go stycznia 1917 r.

Wilna, den 24. Dezember 1916.

Der Deutsche Stadthauptmann
POHL.

OBWIESZCZENIE, dotyczące otwierania sklepów.

Zarządzenie z dn. 26 czerwca 1916 roku w następujący sposób zostaje zmienione:

Wszelkie sklepy i stragany muszą być otwarte—o ile nie zachodzą wyjątki przewidziane pod punktem II lub w poszczególnych wypadkach na skutek prośby nie zostały dopuszczone—we wszystkie dni powszednie, niedzielne i świąteczne od godz. 8 rano do 5 po poł.

mogą zaś być otwarte do g. 8 wiecz.

II. Mogą być zamknięte:

sklepy chrześcijańskie we wszystkie dni niedzielne i świąteczne z wyjątkiem sklepów spożywczych, które winne być otwarte od 8—9 przed poł.

Sklepy żydowskie

a) W szabasy i inne święta żydowskie, z wyjątkiem sklepów spożywczych, które winne być otwarte od 8—9 przed południem
b) w piątki, jako też w przeddzień wszystkich świąt żydowskich ze zmrokiem.

III. Sklepy, sprzedające chleb obowiązują specjalnie wydane przepisy.

IV. Niestosowanie się do powyższych przepisów będzie karane.

Wilna, 22. Dezember 1916.

Der Deutsche Stadthauptmann
POHL.

Na skutek obecnie przeprowadzonej reformy kart chlebowych wydane zostaną nowe karty, które także z wyglądu znacznie różnić się będą od tymczasowych.

Nowe karty są znacznie większe i każdy poszczególny odcinek dzienny podzielony jest na 4 pododcinki. Z odcinków tych wynika, że na karty otrzymać można: 200 gramów mąki lub 250 gr. chleba—odpowiednio w sklepach miejskich kaszy 150 gr. lub też—w czem polega nowość—4 porcje w jednej z miejskich kuchni, wydających zupę. Ujemną stroną dotychczasowej aprowizacji ludności była ta okoliczność że niekorzystali ze swych kart chlebowych, lecz jedli—na koszt społeczny—w kuchniach ludowych, gdzie niepotrzebowali kart chlebowych, przyczem sprzedawali często swe karty chlebowe, co, jak wiadomo, jest niedopuszczalne. Temu ma być obecnie zapobieżone: za każdą porcję zupy w kuchni ludowej—niezależnie od tego czy płatna jest lub nie—odbiorca musi oddać jeden odcinek swej karty chlebowej, czyli czwartą część kuponu dziennego. W ten sposób ułatwia się znacznie jednocześnie kuchniom ludowym kontrolę, co znowu na dobre wychodzi—społeczności.

Jak komunikują inowacja ta ma być zaprowadzona w pierwszych dniach stycznia.

KRONIKA

KALENDARZYK.

Dzisiaj: Adama i Bwy.
Jutro: NARODZENIE CHRYSYDUSA P.
Pojutrze: Św. SZCZEPANA.
Wschód słońca—o g. 8 m. 22
Zachód słońca—o g. 3 m. 49.

WIADOMOŚCI KOŚCIELNE.

— Początek tegorocznego Wigilijnego nabożeństwa w kościele Ostrobramskim dzisiaj, o g. 11-ej m. 15 w nocy, Msza św. Pasterką zwana o g. 12 o północy.

Z WILNA.

— **Od Redakcji.** Numer dzisiejszy «Dziennika Wileńskiego» wychodzi w objętości 8 stronic, w tem 4 str. dodatku świątecznego.

Następny numer ukaże się we środę 27 bm.

Administracja z powodu świąt nieczynna, otwartą będzie we środę 27 bm. w zwykłych godz.

— **Z życia djecezi.** Podaje się do wiadomości, że do dnia 2-go stycznia 1917 roku przyjęć interesantów u J. E. Księdza Administratora nie będzie.

W tymże czasie Kancelarja Biskupia również nie będzie czynną.

— **Z Organizacji Kuchen Ludowych.** Zarząd Organizacji Kuchen Ludowych uznał za możebne wyznaczyć z Kasy Organizacji 200 marek na polepszenie jadła w kuchniach pierwszego i drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia rb. Zarząd.

— **Jasełka na rzecz „szkoły—ochrony dla dzieci bezdomnych”.** Pomiędzy innymi atrakcjami świątecznymi dla dziatew i młodzieży odbędą się również zwyczajem dorocznym Jasełka, urządzone staraniem kierowników «szkoły—ochrony dla dzieci bezdomnych», mieszczącej się przy ulicy Św. Jerskiej w dn. № 22.

Jasełka te, pióra wybitnego autora, urozmaicone piosenkami i tańcami, opracowane pod reżyserją specjalisty, odegrane będą przez wychowawców szkoły ochrony w sali Klubu Robotniczego, (dawniej Poleskiego), przy ul. Wroniej 5, 28 i 29 bm. Początek o godz. 5-ej po poł.

— **„Jasełka”.** W lokalu Śtojańskiej Szkoły im. Mickiewicza ul. Wielka d. № 37—9, od dnia 26 bm. codziennie do 6 włącznie odbywać się będą «Jasełka» dla uczącej się młodzieży z kino-obrazami i tradycyjną choinką. Początek o god. 4 po poł. Bilety po b. dostępnej cenie przy wejściu.

— **„Jasełka” w „Lutni”.** Jutro i pojutrze ukażą się na scenie «Lutni» «Jasełka», obfitujące w barwne i efektowne sceny i obrazy i piękne, starodawne melodie kolendowe.

W pierwszej części «U pasterzy» aniolowie zwiastują «dobrą nowinę» pasterzom, którzy pośpieszają z Bartoszem» (p. Kliszewski) na czele ofiarować skromne podarunki «wielkiemu Panicowi».

Tańce—krakowiak z przyśpiewkami i dziarski mazur, wykonane przez pp. Lewandowską, Jarzęcką, Wyborską, Jakimowiczównę, Ciesielskiego, Jarzęckiego, Morawskiego i Abramowicza—zakończą część I a. W części drugiej rzecz się dzieje u Heroda (p. Olasek) tego możnego władcy, «mocarza nad mocarze», który ulegając podszeptom szatana (p. Wińca), wydaje rozkaz wymordowania wszystkich dzieci; ukazanie się śmierci (p. Kieszczyński) przeistacza tego mocarza w nędzarza, czołgającego się u stóp wszechwładnej śmierci. W części trzeciej akcja toczy się w Betlejemie. Szereg znanych postaci w barwnych strojach, przesunie się przed widzom, jak senne widziadła. A więc za gwiazdą betlejemską podążą wszyscy z pieśnią kolandową na ustach ubodzy, pasterze, rzemieślnicy, wspaniały orszak królewski, dzielni rycerze i cały lud Boży w szatach odświętnych, aby oddać cześć Nowonarodzonemu Dzieciątku i Najśw. Panu.

OFIARY

złożone w administracji „Dziennika Wileńskiego“
Zamiast wizyt i powinszowań świątecznych i noworocznych.

Na T-wo męskie św. Wincentego à Paulo. Tomaszewicz Franciszek 2 m.
Na wpisy szkolne.
Dr. Kozłowski 2 m.
Doktorostwo Karolostwo Sorokowie 2.
Dr. Dokalski z żoną 2 m.
Doktorostwo Zawadzcy 3 m.
Rymszyna Aniela 1 m.
Rymsza Władysław 1 m.
Dr. Świda Michał 3 m.
Kalenkiewiczowie Helena i Jan 5 m.
Ks. Koru Bolesław 3 m.
Imł. 10 m.
Ku uczeniu ś. p. dr. Szlaka 5 m.
Złożone ku uczeniu ś. p. A. Jeleńskiej do rozporządzenia p. Dmochowskiej — Dmochowska Emma 43.92 m.

Ku uczeniu ś. p. H. Sienkiewicza — Miszkowicz-Adamowicz 5 m.
Na ochronkę Ś-to Jerska 22.
Małachowicz Jan 5 m.
Różyccy B. B. C. 5 m.
Na szkołę Ś-to Jakóbską.
Ku uczeniu ś. p. dra St. Szlaka pracujący w szpitalu Ś-to Jakóbskim:
Dr. Zawadzki 5 m.
Stefanowski K. 3 m.
Sobolewska M. 1 m.
Łukaszewicz I. 3.80 m.
Kiejrys Z. 2 m.
X. 95 f.
Służba kobieca 75 f.
Grygiel P. 95 f.
Mejlos 95 f.
Jakóbska 1 m.
Bujnowska 50 f.
Nikiforowa 50 f.
Na głodnych.
Ks. B. 5 m.
Połubiński 3 m.
Ku uczeniu ś. p. d-ra Szlaka — dr. Szalewicz 10 m.

Szwejbowska Kazimiera 3 m.
Pracujący w szpitalu św. Jakóba:
Dr. Tur 10 m.
Dr. Domaszewicz 2 m.
Kiejrys Z. 1 m.
Wołkoń 1.90 m.
Joffe 1.90 m.
Stankiewicz 1.90 m.
Geffen 1.90 m.
Olechnowicz 1.90 m.
Hajdamowicz A. 95 f.
Kondracka E. 95 f.
Grygiel P. 95 f.
Sałow 1 m.
Ku uczeniu ś. p. Heleny Rutskiej — Kielczewscy 5 m.
Burowa Wiktorja 5 m.
Ku uczeniu ś. p. matki Ludwiki Beerowej — dzieci 1 m.
W rocznicę narodzin syna Witolda — matka 5 m.
Romanowicz Czesław 2 m.
Różyccy B. B. C. 5 m.
Na dom św. Antoniego. Szczepkowska A. 5 m.

Na zakład wychowawczy św. Kazimierza p. Kaczanowskiej.
Ks. Cegielski Konstanty 10 m.
Ks. Michniewicz Adolf 10 m.
Na kuchni ludowe.
Imł. 10 m.
Ku uczeniu ś. p. H. Sienkiewicza — Miszkowicz-Adamowicz 3 m.
Na bezdomne dzieci polskie.
Zamiast choinki — Augustowscy Zygmunt i Kazik 5 m. Zwiedryńska Irenka 4 m. 13 oficerów jeńców Polaków z Elwangen 49 m. B. Z. i M. 1.90 m.
Ku uczeniu ś. p. Ludwiki Beerowej — dzieci 1 m.
Na przytułek dla podrzutek przy ul. Polockiej. Dzieci ze wsi Góry parafii po-Bernardyńskiej 11.50 m.
Na szpitalik i ochronę Serca Pana Jezusa.
Zamiast kwiatów na grób i ku uczeniu ś. p. Jadwigi Bejnarowiczówny — Kuleszyńska Helena z córkami 2 m., Kiersnowska I. 2 m., Wysoccy Leonostwo 10 m., A. W. 10 m., I. T. 3 m., M. G. 50 f.

Kino-teatr

DZIŚ!

PIERWSZY RAZ W WILNIE.

DZIŚ!

„Artystyczny“

TANNHAUSER

(inscenizacja znanej opery w 3-ch aktach).

Ś-to Jerska 22:

Muzyka Wagnera.

„ZWYCIEZCA“ (dramat w 2-ch aktach na tle wojny teraźniejszej). „NIE BAW SIĘ Z OGNIEM“ (farsa pełna humoru). „Dziennik wojenny“ (ostatnie wypadki na terenie).

Dziś i jutro od g. 1—4 ceny miejsc od 25 fenygów.

TEATR BIAŁORUSKI

W GMACHU CYRKU NA PLACU ŁUKISKIM.

We wtorek, dn. 26 grudnia 1916 r.

„NA ANTOKOLU“,

sztuka w 3-ch aktach. F. Olechnowicza, ze śpiewami i tańcami.

Początek o godz. 5-tej wiecz.

Ceny biletów od 25 fen. do 4 marek.

We środe, dn. 27 grudnia: „CHAM“, dramat w 4 akt. E. Orzeszkowej. Pocz. o g. 5 wiecz.

Do sprzedania

od 5 pudów do 7 kowadła, młoty duże, wszelkiego rodzaju zamki wewnętrzne i zewnętrzne, haciele od № 6—10 pierwszy gat. «Possela» oraz przyjmują się wszelkiego rodzaju roboty. Subocz № 6, Cichosz. 415

Zegar-kościół

K. Sobolewski-go został przeniesiony na ul. Wielką 26—3 na drugim piętrze. Sz. Publiczność może oglądać codziennie od g. 1-ej. 399

A. JANUSZEWICZ, ZAMKOWA (Wielka) 20-a.

Z powodu zwinienia całego handlu na czas wojny, zupełna

wyprzedaż win!

Towary kolonialne już są wyprzedane.

Sklep otwarty będzie tylko do 31 grudnia b. roku. 371



ZARZĄD WILEŃSKIEGO STOWARZYSZENIA POŻYCZKOWO - OSZCZĘDNOŚCIOWEGO

ZAWALNA Nr. 60, Asekuruje bilety i emisji 1864 roku od wylosowania 2/15 stycznia 1917 r.

Poszukuje

posaty rządca przy gospodarstwie: długoletnia praktyka, poważne rekomendacje. (Makarjewska) Makowa 15—13, Biskupski. 381

Do sprzedania

całe urządzenie sklepu kolonialnego, może być z lokalem. Garbarska № 16—5. Szabanowa. 313

Ważne dla gospodyń!

Jak zaoszczędzić przy dzisiejszej drożyznie pranie bielizny. Można tylko za pomocą ręcznej maszyny „PAULA“, do prania „PAULA“ zaoszczędza mydło, drzewo, czas, pracę i bieliznę o 200 procent. Poleca skład naczyn kuchennych S. KRAKOWSKI, Ś-to Jańska 21. Cena maszyny wraz ze sposobem użycia 2 m. 25 fen. 406

MAGAZYN OBUWIA G. CHAIT

WILNO, WIELKA 68.

Wielki wybór rozmaitego obuwia najładniejszych fasonów.

Wyprzedaż wysortowanego obuwia z wielkim ustępstwem.

Ważne dla handlujących!

TOREBKI

po 7 i 10 kop. funt do nabycia w Domu Pracy w Kowikale, Ś-to Michalski № 10.

Oświetlenie elektryczne o-

raz wszelkie przeróbki i reperacje wykonywane szybko i nie drogo, także kupuje elektryczną armaturę używaną C. Kowalczuk, Dominikańska 13—9. 418

Za 50 marek

do sprzedania gramofon z płytami, także maszyna do pisania, mandolina i gitara. Rudnicka 10—29 od godz. 5—7 wiecz. Szawedanc 420

Kupuję

cennosci, perły i drogie kamienie, antyki. Plac najwyższe ceny. 311 Ul. Tatarska № 20 m. 17, Poczter.

Opal wyborowy, suchy, Alexandrowicz, Kasztanowa № 3, m. 9. Od 5—7 pp. 380

Introligator R. Aleksandrowicz Tatarska, 11, przyjmuje roboty w zakres fachu wchodzące.

LISTY DO RODZINY i in.,

handl. koresp., rachunki etc. pisać po niemiecku w zakł. fotogr. Br. Butkowskich, Bazylijańska 5, od 8—4. 390

Makulatura do sprzedania.

Dowiedzieć się w administracji „Dziennika Wileńskiego“ od 10—2. gr

Tłumaczenia z polskiego i rosyjskiego na niemiecki i odwrotnie, oraz pisanie podań w języku niemieckim do wszelkich urzędów załatwia Józefa Żebrowska, Kaukaska 14—4.

WILEŃSKA FILJA

Wil. Prywatnego Banku Handlowego

załatwia wymianę marek na ruble rosyjskie i odwrotnie według kursu giełdowego. FILJA przyjmuje również depozyty na bieżący rachunek. Bank otwarty od 10-ej do 1-ej. Ś-to Jerska 8. 382

ZASZCZYCENI UZNANIEM JEGO ŚWIĄTOBLIWOŚCI PAPIEŻA PIUSA X. 4 złote medale i inne nagrody. 327
Artystyczne wykonanie fotografii, portretów, grup i t. p. w zakładzie i na wyjazd.

Nadworni fotogr. szacha perskiego Br. BUTKOWSCY, Wilno, Bazylijańska 5.
Fotoemalowe broszki, spinki etc. Wszelkie nowości.

KRÓLEWSKA PRUSKA LOTERJA.

LOSY $\frac{1}{8}$ $\frac{1}{4}$ $\frac{1}{2}$ $\frac{1}{1}$ | Ciągnięcie w początkach stycznia 1917 r.
5 10 20 40 marek

M. BRAUN, WILNO,

Wielka Stefańska 20—4. Niemiecka 7 (fabr. stempli Arkuski).

TORF w dobrym gatunku za pud 65 fen. z dostawą.

Zamówienia przyjmuje 409

SKLEP A. DANCIGIER I SPÓŁKA, WIELKA Nr. 72 (dawniej Alszwanga).

Kupujący torf otrzymają DRZEWO po cenach miejskiego zarządu.

ZUPELNA WYPRZEDAŻ perfumeryjnych i kosmetycznych towarów i patentowanych środków, grzebieni, szpilek i szczotek w wielkim wyborze. 385

Skład apteczny J. SZAMBEDAŁ, Pohulanka Nr. 12.

Przy nadchodzących świątach można nabywać

„NEKTAR-SEKT“ (SZAMPAŃSKIE BEZ ALKOHOLU)

we wszystkich większych składach win i sklepach kolonialnych.

Sprzedaż hurtowa: ul. Lelewela (zaut. Ś-to Jakóbski) Nr. 3 przy Zielonym moście tam, gdzie dawniej był skład piwa W-go Parczewskiego. Wysyłka koleją żelazną załatwia się szybko i akuracie. 293



WIGILJA.

Nad modrym Niemnem, na litewskim brzegu, stał dworek szlachecki; a jeśli go z powierzchni nie zmiotła obecna wichura wojenna, stoi i dziś pewno, taki sam jak i przed stu laty przeszło, kiedy się nasze rozpoczyna opowiadanie.

Dworek podobniuteńki był do innych siedzib szlacheckich: przyziemisty, pobielane ściany, strzecha słomiana i na słupkach ganek. Przed oknami ogródek z kwiatami, panięską wypieszczony dłońią. W koło lipy odwieczne, w ich cieniu tuliła się reszta gospodarskiego obejścia: stajenki, gumna, sernik piętrowy... Na rozstajnych drogach krzyż, błogosławiąc, wyciągał ramiona, u stóp jego polne kwitły różyczki, a przytulona do tej Bożej męki jarzębina, na czoło Zbawiciela, cierniem uwieńczone, lzy krwawe ronila.

Poletka, choć piaszczyste, znojem długich pokoleń użyznione, «malowane zbożem rozmaitem», łagodnie spadały ku niemnowej dolinie, gdzie niedzie rozrzucone gaje, lub dąb samotnik, roztaczały cień swój w letnią spiekotę, na cmentarzu wierne płakały brzozy, a wzdłuż rzecznej strugi, wiecznie odrastające, czerniały olchy.

Dziedzic tego zakątka, Jan Dowgird, herbu Łabędź, szlachcic z Bożej łaski, szeroko słynął w okolicy z najlepszych urodzajów, ze złotego serca i sześciu hoźych cór na wydaniu. Jadzia, Stasia, Kasia, Joasia, Hasia i najmłodsza Basia, dziewczęta jak łanie, zda się, że z pól, łąk i gajów ojczystych pobrały wszystką krasę: makiem polnym kwitły ich liczka, oczęta jak chabry, włos lniany, usteczka słodkie, niczem żrzale wi-sienki, smukłe jak topolki, jak ptaszyny święgotliwe, a zwinne jak te srebrne rybki, co w Niemnie śmigają.

Toć nie dziw, że na dziesięć mil w około nie było chłopca, któryby duszy nie zaprzedał za jedno ich spojrzenie, a tam za rzeką, na polskiej stronie, dziarscy hułani, harcując na swych konikach, myśli i westchnienia ślą ku cichej, wiejskiej zagrodzie i nieraz zalotna piosnka żołnierska, płynąc w dal, wśród wieczornej ciszy, łączyła się z tęskną nutą z przeciwna, o tej dziewczęce, co umierając, jeszcze się pytała «czy na tamtym świecie są hułani przecie?» Lecz Niemen rozdzielił bratnie serca, a rozstawione na wzgórkach kozackie pikiety, zazdrośnie strzegą przeprawy.

Aż razu pewnego — było to w sam wieczór wigilijny — na dworze szalała śnieżyca, w wiejskim dworku jasno i zacisznie, pachnie siankiem świeżym, stół śnieżnym przykryty obrusem, dymi winna polewka, gospodarz ujął biały opłatek i do jejmości sunie z życzeniem... w tem za oknami zagrały dzwonki, zgrzytnęły płozy...

— Któżby to o tej porze?

A tamci już wała do sieni, sześć chłopców na schwał! Otrząsnęli śnieżne tumany—zabręczyły szabelki i ostrogi, zrzucili z pleców wilczury—rozkwitły ullańskie wyłogi.

— Na Boga! Panowie! Jakżeście ominęli strażę moskiewskie?

— Furda strażę! Mospanie!.. Noc ciemna, że choć trzaśnij w pysk. Lód mocny na rzece, figiel ullański i kwita: przyjechaliśmy do waćpana kuligiem!

— Ha! byle stąd nie wynikły jakie perypetje... tymczasem: gość w domu—Bóg w domu, przełamiemy się opłatkiem, a potem proszę do stołu: czem chata bogata...

Na pogadance, na śmieszkach i żartach jak błyskawica minęła godzina, jedna, druga.

— Czas, koledzy, w drogę, czas...

Więc naprzód jejmości kolejno: cmok w pulchną rączkę, gospodarzowi szczerzy, żołnierski uścisk dłoni, córeczkom całusek z ukradka.

Pojechali...

Odtąd, o dziwo, w panięskim alkierzyku, którego okno ku Niemnu zwrócone, nie zamarały szyb, choć mróz się srożył, stary zazdrośnik, co strzeże wnętrza dziewiczych komnatek, zawieszając w oknach swe srebrne franki...

Najdłuższa zima jednak ustąpić musi cieplejszym powiewom budzącej się wiosny. Tego roku ustąpiła ona wcześniej jeszcze, niż zwykle; razem ze stadami wędrownego ptactwa spadły na kraj dziwne jakieś wieści i jak jaskółki przed burzą, to się wysoko wzbijają, to przypadają do ziemi, zataczając niespokojne kręgi, trwożne jakieś przecucia krążyły nad cichymi gniazdami litewskimi. Wezbrały wody Niemna nurtem spienionym od kroci tysięcy rzuconej w pław konnicy, lasy całe zatopiono, by ujarzmić byży bieg potoku, po mostach, naprędce skleconych siekierą saperów, bez ustanku toczyły się lśnią-ce działa, dudniły ciężkie, okute wozy z amunicją, płynęły nieprzerwane szeregi piechoty.

Spadło to jak chmura gradowa na litewską stronę, przeorując ruń zieloną brzdami kół, miażdżąc ją kopytami kawalerji. Przed tą nawałą w popłochu cofały się zastepy rosyjskie, gdzieniegdzie tylko grasując, oddziały kozackie znaczyły ślad swój łąkami, zawieszonymi na północnym niebie i smutnymi zgłiszczami. Wypędzone z chlewów lub zabrane z paszy bydelko, gnane razami batogów, głodnymi stadami ciągnęło gościńcem, porykując żałośnie, szły nieskończone chłopskie podwozy, oderwane przemocą od rodzinnego zagonu, od pluga i brony.

Tak ustępowała Moskwa, żegnana złosezeniem milionów.

Chmara nowych przybyszów, przez jednych witana przesadną nadzieją, jak się wita zbawców, przez innych, zwłaszcza przez lud, tępa jeno obojętnością, rozsypała się po kraju na kształt zgłodniałej szarańczy, nie było skrawka zielonego, któregooby do cna nie wyskubały ich konie. Bandy maroderów, grasując po wsiach, rabowały, co się dało, mordując opornych, bezczeszcząc niewiasty, łupiąc kościoły. Lud wylekniiony w ukryciu spożywał kęs chleba, przechowując resztę ubożego mienia w podziemnych pieczarach i głuszy leśnej.

Czarne skrzydło śmierci, głodu i nędzy powiało nad krajem.

I tylko polskie oddziały dawne budziły uczucia, gdzie się ukazały, witane sercem wylaniem, podejmowane hucznie i radośnie resztkami ukrytych zapasów, żegnane łąką rozrzewnienia i błogosławieństwem. Niejednego też z sobą porwały młodzieńca, żadnego sławy lub śmierci żołnierskiej za miłą ojczyznę, nie jedno w tęsknocie zostawiły serduszek.

Śród ogólnej powodzi, jak gdyby cudem ocalał nadniemeński dworek, lecz i tu nie przeszła bez śladu dziejowa wichura, z kątów jego wiało smutkiem opuszczenia. Umilkł wesoly szczebiot dziewczęcych głosików. Dwie z pośród cór pana Dowgirda wyszły za mąż za poczciwych sąsiadów — ot byle rodzicom nie być ciężarem w tych niezwykłych czasach, dwie za klasztornym murem cichą znalazły przystań, jedna do pewniejszej przybiła przystani — pod cieniem brzoź białych na wiejskim cmentarzu. Osieroconym rodzicom ostatnia została pociecha: najmłodsza Baśka, niby ten kwiatek sa-

motny, wśród skoszonej łąki. Lecz i ona zmieniła się niedopoznania, jakiś smutek nieznan, niby chmurka na pogodnym niebie osiadł na jasnym czole dziewczyny i nieraz łąka tajona błysnęła w modrem oku.

Godzinami bywało stoi w ganku, jak gdyby kogoś czekała, kogoś wyglądała, patrzy, ledwo oczu nie wypatrzy — a tam, opodal, gościńcem ciągną ulani, pod nimi wesoło skaczą koniki, w promieniach słońca lśnią barwne mundury, z wiatrem igrając, furkocą chorągiewki. I nieraz w ślad za nimi biegła nuta tęsknej piosenki:

«Ulani, ulani, siwe konie macie,
Przystaną ja do was, jednego mi dacie...»

W ślad biegła, nie dobiegła, gubiąc się wśród rodzinnych poletek, gajów i zarośli niby ptaszyna zblakana, aż z powrotem wróciła, echem rozkwilonem:

«Nie wierz dziewczyno, nie wierz jedyno,
Bo ulan nie stały...»

Minęła, przewaliła krwawa nawałnica i znowu cisza pogodna objęła wieś litewską; od czasu do czasu tylko, z coraz większej dali dochodził głuchy pomruk gromu. Zdeptana ruń wiosenna znowu się podniosła, zafalowała nie bawem złotych kłosów morzem. Niezwykle obfita jesień hojnie wynagrodziła rolnikowi wiosenne straty.

Tymczasem z północy jakieś dziwne poczęły nadchodzić wieści, na razie bałamutne lub sprzeczne, coraz pewniejsze, coraz bardziej beznadziejne. Nie było już wątpliwości, groza wojenna zbliżała się z powrotem, lecz w jakże odmiennej postaci! A kiedy zima łąka skuliła potoki, lasy i pola śnieżnym przykryła całunem, ujrano wracające orły złote, z podruzgotanymi skrzydłami, krwią serdeczną znaczące szlak zwycięstwa — szlak klęski. Ujrano widmowe pułki mar wybladłych, ciągnące wszystkimi drogami, nad nimi unosiły się stada kruków czarnych, kracząc złowrogo, za nimi w ślad szły wilków gromady i drapieńszych od zwierza leśnego — ludzi.

Pewnej niedzieli adwentu, chłopci okoliczni, wracając ze Mszy z kościoła, na gościńcu, co ku Niemnu prowadzi, wśród zaspy śnieżnej, znaleźli zmarłego żołnierza, a że na nim były strzępy polskiego munduru, podnieśli go i do pobliskiego odwieźli dworku.

Sztywny był i bład, jak ten szron biały, co mu pokrywał twarz i włosy, lecz w sercu ju-nackiem jeszcze tłała jakaś drobna iskierka życia. Sam gospodarz zajął się ratunkiem, nadbiegła Basia... spojrzęła... poznała i jak podcięta kosą trawka, upadła na pierś ulana. W tej samej chwili tamten oczy otworzył, odbiło się w nich dalekie jakieś wspomnienie, usta rozwarły się w uśmiechu, chciał coś przemówić, kurcz ścisnął szczękę, śmiertelne zmęczenie rozlało się po twarzy, wkrótce snem zapadły powieki.

Długo walczył ze śmiercią, wspominając w malignie to przebyte boje, to jasny wiecór wigilijny, w wiejskim dworku i biały opłatek, którym się przełamał z lubą dziewczyną. W końcu siły młodzieńcze, troskliwa opieka, czuwająca we dnie i w nocy — zwyciężyły.

Po dwóch tygodniach podniósł się jak ten Łazarz z posłania. Powoli wracało zdrowie, lecz nie miał widać żołnierz sierota ni domu rodzinnego, ni bliskich, do których miałby spieszyć. Kilka razy wprawdzie młode orle zrywało się do lotu śladem wodza ubóstwianego — lecz wódz daleko, a stargane pióra odmawiały posłuszeństwa. Tymczasem w wiejskim dworku tak lubo, tak zacisznie, błękitne oczy codzień na dzień dobry zdają się mówić: nie odjeżdżaj żołnierz, zostań, choć ten dzień jeszcze. I stary pan Dowgird szczerze przychylny gościowi, coraz częściej wyręcza się nim w gospodarstwie, jak synem, a wieczorami rad słucha opowieści o Witebsku, Smoleńsku i Moskwie, sam przypomina młode lata, ubiegłe walki pod ukochanym Kościszką.

Aż gdy zabłysła gwiazdka wigilijna, gdy się rodzina zebrała u stołu, podzielić święconym opłatkiem, ręką ojcowską ujął drżącą rączynę córki i ten swój skarb najdroższy, ostatni, złożył ufnie w dłoń młodziana. Ksiądz proboszcz niehawem w wiejskim kościółku związek ich pobłogosławił, pan organista huknął

«Veni creator», spłakały się kobiety, mężczyźni miódkiem wypili zdrowie młodej pary — tak skończył się romans ulana z dziewczyną.

Tu się rozpoczyna różaniec dni jednostajnych, równych i jasnych w miłości, pracy i bojaźni Bożej. Za rok, akurat w sam dzień Wigilji, pani Basia darowała mężowi malowanie — chłopaka. Drobna sprzeczka między teściem a zięciem nie zamąciła rodzinnej zgody. Ojciec chciał imieniem Józefa ochrzcić niemowlę — ku czci księcia — wodza — dziadek za Tadeuszem obstawał. Wypadło ustąpić, pocieszając się nadzieją na przyszłość. Bóg zrzucił nieco inaczej: następną przybyła córka — nazwano ją Józia.

Lata mijały, dzieci zdrowo się chowały pod troskliwym okiem rodziców. Tylko na wiejskim cmentarzu przybyły dwa nowe wzgórzka, kędy spoczęli oboje starzy państwo Dowgirdowie.

A Niemen wciąż toczył swe nurty, fala za falą równo płynęły, jak płynie życie pokoleń, co nad jego brzegami osiadły po wsiach i dworkach — od niepamiętnych wieków.

* * *

Rok 1831-szy. Litwa cała w ogniu. Nie wyczekawszy nawet hasła z Warszawy, bez rozkazu, lud cały, jak gdyby pchnięty jakąś niewidzialną, przepiętną dłońią, chwytła za broń, kruszy kajdany. Tak jest: lud cały — od magnata do kmiecia, wiara, co jeszcze napoleońskie pamiętała czasy i młodź akademicka, niedoświadczona, lecz pełna zapału i poświęcenia, karmazyni i bracia szaraczkowa obok mieszczan i kmieci — tych ostatnich zwłaszcza.

«Gdyby nie ofiarność ludu — pisze współczesny świadek i pamiętnikarz — dostarczającego żywności, odzieży i prochu do lasów codziennie, powstanie w samym zarodku by upadło.»

Nierównanej waleczności było to wojsko, bić się chciało, tego się biło i pewne było zwycięstwa. Niestety, obrotami walecznych nie było komu kierować: Giełgud nie umiał, Chłapowski nie chciał, a inni czekali rozkazów. To też chłód i sceptycyzm niewierzącej w siebie starszyny zarazą owiał wrażliwe szeregi, upadek ducha i rozprężenie dosięgło najwyższego stopnia; «rozkazów nie dawał nikt i nikt nie słuchał, każdy kłął, łajał, rezonował, narzekał i zło straszne, nie ujęte silną ręką wodza, jak dziki koń po stepie, hulało w obozie...»

W ostatecznej toni, gdy nietylko kraj lecz i reszty wojska zdawały się zaprzepaszczone, zjawia się mąż opatrnościowy, ulubieniec żołnierzy, mężny, lotny a rozważny, Polak prawy, bez skazy wojak — generał Dembiński. Wódz pełen życia, czynu i energii, wśród huk armat, we krwi i dymie wzeszła jego gwiazda. On jeden wierzył w siebie, a wierząc w serca innych umiał tchnąć nadzieję. Na zewnątrz niby nie liczący się z niczem, szalony oczajdusza, zadumany, wiecznie o czemś marzący — w gruncie rzeczy miał duszę przewidującą i bardzo trzeźwą.

On jeden, jak nikt, potrafił ocenić położenie, a wyrozumiawszy, że zaprzepaszczonej niedoładem wodzów placówki żadna siła na świecie obronić nie jest w stanie — postanowił przynajmniej ratować żołnierza, którego tak bardzo potrzebowała ojczyzna. Co postanowił, dokonał święcie. Skrzykuje niedobitków, siłą swej niepospolitej woli formuje w karne szeregi, choć nogi bose, kasa pusta, brak amunicji i broni, choć w koło czyha zguba, na czele swych zatrzaśniętych przerywa się przez środek Litwy (by podać rękę powstańcom, rozpierzchniętym po lasach i błotach) i po stu milowym marszu, pełnym przygód i wydarzeń, jako tryumfator na czele licznego, dzielnego zastępu wkracza do Warszawy, od stóp do głowy uzbrojony, mając pełne jaszczyki amunicji, dukaty i ruble w kiesie, zdobyczne konie i w wielkiej obfitości wszelkich rekwizytów wojskowych.

Odtąd Warszawa staje się środowiskiem wypadków wojennych.

Na Litwie upadło powstanie.

Gdzie nie gdzie tylko drobne, partyzanckie oddziały, które nie zdążyły połączyć się z Dembińskim, lub nie chciały, przenosząc śmierć na ziemi ojczyściej, błakały się wśród niezgłębionych ostępów puszczy litewskich.

I te z dniem każdym topniały, jedne osaczone, ginęły od kul, lub zdawały się na łaskę i nie łaskę... na hańbę chłosty, Sybir i kajdany; inne, dotarliśmy szczęśliwie granicy, na pruską chroniły się stronę, inne szły w rozsypkę...

Tymczasem z Królestwa coraz groźniejsze nadchodziły wieści: upadła Warszawa... Modlin... Zamość...

Minęła jesień, długa, słotna... nastąpiła zima, nieskończona, jak śmierć, zima narodu, po której, zda się, już niema zmartwychwstania, wiosny...

Smutna w tym roku była Wigilja w nad-niemeńskim dworku. Gospodarz, chociaż nie starowina przecie, postękiwał jakoś od dawnych ran, które na nowo mu się otworzyły. Pani Barbara, matrona w sile wieku, posiwała w ciągu jednego lata, niby gołębica. Jedynym promykłem szczęścia, podporą starości, była ich córka, dziewczę szesnastoletnie, jak malina; kto ojcu choremu przyrządził leki, kto matkę pocieszy, dojrzy gospodarstwa — jeżeli nie ona? I teraz oto krząta się po izbie, by wszystko przygotować godnie dla wigilijnej wieczerzy, jak stary wymaga zwyczaj: stawia w kącie snop bujny pszenicy, stół wonnem potrzasa siankiem, przykrywa śnieżnym obrusem.

— A niezapomnij, Józeczko, czwartego nakrycia — dla «Zagórskiego...» tak ojcowie nasi trzymali.

Ej, widać dobrze znany, bliski, nadewszystko ukochany, z tęsknotą i niepokojem wyczekiwany, ten «Zagórski», bo matce głos się załamał przy tych słowach, a ojciec, jak gdyby ukryć chciał łzy, co mu nabiegły do oczu, odwrócił się do okna i wzrok utopił w mrocznej dali.

Rok temu właśnie, syn ich, student uniwersytetu wileńskiego, przystał do powstania. Rodzicom przesłał kilka słów pożegnania, prosząc o błogosławieństwo — i odtąd ślad po nim zaginął. Czy poległ? Czy z innymi na obczyźnie dzieli gorzki chleb wygnania?

— Ot i gwiazdka już błysła, siadajmy do stołu: Panie Boże błogosław...

— Cyt! ktoś do drzwi puka!...

— To wiatr potrafił okienicą.

— Skrzypnęły drzwi...

Na progu izby stała jakaś postać nieznaną. Na niej chłopski kożuch, lecz z twarzy wybladłej, z dużych, myślących oczu łącno poznasz, że nie jest to człek z gminu.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków... ktoś ty, przybysz obcy i z czem przychodzisz o tej porze?

— Nazywam się Adam Zabrzęski... kolega Tadeusza...

Zerwali się oboje rodzice:

— Gdzie syn nasz? Czy żyje?

Przybysz smutnie zwiesił głowę. Długie milczenie stało za odpowiedź.

Przerwał je w końcu głos ojca, spokojny, choć drżący:

— Bóg dał — Bóg wziął... niech będzie święta wola Jego. Zbliź się waćpan, zrzuć z siebie to przebranie, w tym domu niemasz zdrajców, usiądź ot tu, na syna miejscu, przełamiemy się chlebem Bożym, a gdy się posilisz, opowiesz nam wszystko jak było, nic nie ukryjesz... nie bój się, nie oszczędzaj, wysłuchamy spokojnie, jam stary żołnierz, a jejmość moja wszak mężna niewiasta i — Polka.

— O nieciece naszej z Wilna wiesz waćpan z listu syna... Więcej pisać niechciał, by nie narazić rodziców, zresztą trudno tam było o okazję. Partja nasza stała w Kurszanach, rozbita i osłabiona, nietyłe przez wroga, ile własną niezdolnością. Gdy wtem zjawił się Dembicki. Wielki to wódz. Zebrał nas, przemówił krótko, po swojemu, zaklął w imię Ojczyzny, do wytrwałości zachęcając, a przedewszystkiem posłuszeństwa i zgody. «Prowadź nas» i «Niech żyje Dembiński, nasz wódz!» — krzyknęliśmy jak jeden mąż. A gdy ucichły wiyaty, skinął szablą i: «Naprzód!» — huknął, a gdy kapela zagrzmięła «Dąbrowskiego» i w takt jej ruszyły szeregi, głosem już innym, natchnienia pełnym, zawołał: «Dalej, bracia, w imię Boże, Bóg nam dopomoże!»

I Bóg dopomógł. Dnia następnego zaraz, chociaż nas garść była, źle uzbrojonych, bez

amunicji, stoczyliśmy zwycięską bitwę w Myszkućkach. Zdobyta broń i ładunki wódz rozdać kazał wiarze, pustą kasę zaopatrzoną w złoto. A dalej szły: Poniewież, Malaty, Podbrodzie, Zdzięcioła, Dereczyn — zwycięstwo szlak nasz znaczyło. Z Wieszowca Dembiński, schodząc z traktu, rzucił się nagle ku Woli Nadszczarskiej, ja z Tadeuszem, jako zawołani myśliwi, szliśmy w przedniej straży: przez słynne z zawałów i zdradnych topieli wielkie lasy podolskie brnęły nasze szeregi.

W puszczy, wśród niepodobnych prawie do przebycia ostępów, kiedy zaledwo dziki zwierz przecisnąć się może, a żubr samowładny panuje, nad obozem naszym głos radości się unosił: «Jesteśmy ocaleni...» A jednak, od opuszczenia Żmudzi, niebezpieczeństwo nie było tak groźne i zgruba tak bliską. Otoczonym ze wszystkich stron przez znaczne oddziały pięciu generałów rosyjskich, jedno zda się tylko pozostawało: zginąć. Wiedział o tem Dembiński, więc gęsto na wsze strony rozsyłał podjazdy. W ich liczbie bywał też Tadeusz, podczas gdy ja miałem zajęcie w obozie. Pewnego razu, było to w samo południe, patrze, pędzi Tadeusz na spienionym koniu, wydał mi się niezwykle blady i krew miał na mundurze, lecz trzymał się prosto na siodle. Przed samym wodzem osadził rumaka, łapiąc powietrze spieczonemi ustami, krzyknął:

«Różycki na czele jazdy wołyńskiej idzie w pomoc... jest już w Narewce!» — i zemdlony osunął się z konia.

Gdy radosna nowina o niespodzianej odsieczy błyskawicą biegnie z ust do ust, my, bliżej stojący, rzuciliśmy się cucić gońca dobrej wieści. Na próżno; kula wraza przeszła mu pierś, dziw jak zdołał spełnić swe poselstwo. Raz jeszcze otworzył oczy, lecz śmierć już była nad nim:

«Adamie — szepnął, poznając mię — jesteś żołnierzem, więc musisz iść za wodzem. Jeżeli jednak przetrwasz do końca, jeżeli kiedy wrócisz w nasze strony... nad Niemnem jest cichy zaścianek, tam mieszkają moi rodzice i moja siostrzyczka jedyna... Niedokończył, tylko rękami drżącymi medalik Przenajświętszej Ostrobramskiej Pani, który zawsze nosił na piersi, do zbliżających przycisnął ust:

«Matko... Ojczyzno» To były ostatnie jego słowa. I niewiem czy ziemskie używał swej matki, czy tej Niebieskiej polecał ukochaną Ojczyznę... Co było dalej — jak przez sen pamiętam: wjazd do Warszawy, przy huku armat, odgłosie dzwonów i radosnych okrzykach; nie długo trwało to uniesienie, w miesiąc potem ryknęły Paskiewiczza śpiże, zatrzęsła się w swych posiadach stolica; obrona Woli; cofnięcie się wojsk naszych; przejście przez granicę... wyniosłem cało głowę, lecz — czy to tęsknota za krajem (choć i nie mam tu ni rodziców, ni bliskich) — czy ostatnia, niespełniona prośba przyjaciela nie dała mi chwili spokoju — wyrobiłem sobie papiery i w przebraniu, ruszyłem w daleką, niebezpieczną drogę.

Tu cel mej podróży i tu się kończy powieść moja.

Chwila milczenia... podniósł się ojciec stary i drzącymi ustami, na czole młodzieńca złożył pocałunek serdeczny:

— Przyjacielu syna! powiadasz, że nie masz ni krewnych, ni rodziców — jeżeli po temu wola twoja — masz tu ich oboje. Zakątek ten cichy, nie zagładnie tu oko szpiega; zostni i bądź nam synem...

W tem za oknem ozwały się liczne dobre głosy: to kolednicy wiejscy, odwiecznym zwyczajem przybyli z pleśnią do dworu:

«Witaj Synu najśliczniejszy,
Witaj Jezu najwdzięczniejszy,
Li, li, li, li, memu dzieciątku małemu».

Słowa rzewnej modlitwy z ust prostaczków płynęły wśród ciszy nocnej po nad pola, wody i lasy, śniące pod śnieżnym całunem o cudzie smartwychwstania.

*

*

*

Upłynęło lat 30 z górą. Rok 1863.

W dworku nadniemeńskim, przy wigilijnym stole, zasiadło dwoje samotnych starszków: obecny gospodarz zaścianka, p. Adam Zabrzeński i żona jego, pani Józefa, prócz nich dookoła stołu stały trzy puste krzesła jeszcze, trzy nakrycia,

na każdym leżał biały opłatek z wyobrażeniem Baranka, co krew swą niewinną przelewa za uciśnionych i poniżonych, za pokój i miłość na ziemi: to dla Tadzia, to dla Henia, a to dla Kazia.

Trzej synowie państwa Zabrzeńskich: pierwszy imię Tadeusza nosił, na pamiątkę wuja, co pod Dembińskim walcząc, poległ śmiercią walecznych w Białowieskiej puszczy, drugi na cześć tego wodza bohatera imię Henryka na chrzcie świętym otrzymał, najmłodszy — ulubieniec matki — świętego królewicza i opiekuna Litwy miał za patrona.

Chłopcy na schwał, dziś wszyscy trzej walczyli w szeregach powstania. Z początku, ukradkiem, do rąk rodziców dochodziły krótkie listki, pisane dorywczo, w obozie, treści najubożniejszej zda się w świecie: ten donosi ile kop pszenicy zjął na gospodarstwie, ów narzeka, że się młocarnia popsuła, trzeci zasyła ukłony od sióstr i od kuzynek — tylko ci, co «urodzeni w niewoli, okuci w powiciu» rozumieją takich listów tajne znaczenie. Czasem wieść głucha o synach długo krążyła, z ust do ust, szeptem powtarzana, zawita pod dach rodzicielski, budząc niepokój lub nadzieję. Choć zmienili imiona, choć pod przybranym nazwiskiem, wiedzą tu kto jako «Iskra» Litwę całą wzduł i wszertz przebiega, niecąc w sercach zapalony święty, porywając wąpiących, budząc obojętnych do czynu, kto niby «Topór» zniemacka druzgocząc, spada na głowy wraze, kto jak młody «Wilczek» w leśnym ostępie obrał swe leże.

Od dwóch miesięcy — jak uciał — umilkły wszelkie wieści... ni słychno. Z drżeniem co tygodnia pan Adam do rąk bierzy «wiadomości gubernjalne», przebiega długą listę ofiar: powieszonych, skazanych na katorgę... z westchnieniem ulgi odkłada na bok: drogich imion nie znalazł.

— Jeżeli żyją, wolni: dziś przybyć muszą na tę ucztę wigilijną... serce matczyne mi to mówi. A jeżeli... jeżeli polegli, to duchy ich w tej chwili może tu są, z nami dzielą się tym chlebem anielskim.

Wicher jęknął za oknem i garść śniegu ostrego rzucił o szyby, że zadźwięczały. Na kominku przysałe węgle buchnęły sinawym płomieniem.

— Miałam tej nocy sen dziwny: widzę, w ogródku naszym nieboszczyk, mama moja (Panie, świeć nad jej duszą) jak to nieraz bywało, bawi się z dziećmi. Zerwała z drzewa rumiane jabłuszko, na dwie części je dzieli i czerwoną jak krew połówkę daje starszemu. «To — powiada — dla Tadzia — on najbardziej przypomina mojego jedynaka, dla ciebie, Henio, niech będzie ta druga, zielona». Wtem podbiega najmłodszy nasz, Kazik, i o swoją część prosi. «Skąd ja ci wezmę, dziecińco» — rzecze mama. Dziecko ku jabłoni wyciąga rączynę, lecz — o dziwo! — drzewo, przed chwilą uginające się pod słodkim ciężarem, stoi nagie, znikły owoce, liście opadły, śnieżne płatki wokoło igrają.

— Sen mara, lecz — czy mi się zdaje — słyszczyć czyjeś kroki w sieni.

— Nie może być, psy oznajmiłyby obcego... głucho na dworze...

— A może kto swój? znajomy?

— Tak, ojcie, swój!

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

— Kaziu! synku mój!

— Jam to, drodzy moi.

I do rąk rodziców schylony, młodzian gorącymi obsypuje je pocałunkami. Tymczasem Zagraj, psisko, przez wół otwarte drzwi zagląda do izby, ogonem wila, a mądre oczy jego zdają się mówić: cóż dla mnie będzie za takiego gościa? Żle się wybrał Zagraj, bo ktoby tam teraz zważał na niego, chyba, że korzystając ze sposobności, sam zlikwiduje swą należność z resztek świętecznej zastawy.

A tam pytaniom, okrzykom niema końca.

— A pokażno się bliżej, chłopcze! Jakiś pomeźniał! Niech cię przy świetle obejrzę! A to co?

Młode, nawpół dziecinne czoło, przecięła głęboka kresa sinawa.

— O, Panno Najświętsza!

— Nie krzycz, matko, furda to, jeszcze mu lepiej z tem będzie do twarzy. A grunt, że

żyje, że wrócił nam cało. Cóż robia bracia twoi?..

— Henryk żyje, chociaż w niewoli, oczekuje wyroku. Jest nadzieja, że względnie łagodny wypadnie.

— A Tadzio?

— Ojcie, matko droga! Zmówmy «Aniol Pański»...

— Po rozbiciu oddziałów Sendka i Lubicza pod Olkienikami *) — o czem wiecie — nie było już co robić na Litwie, a raczej: utrzymać się dłużej nie było sposobu.

Postanowiliśmy małemi partjami przedostać się na lewy brzeg Niemna. Między innymi i mnie, jako świadomemu miejscowości, przypadło zadanie przeprowadzić oddziałek z 40 rozbitków. Tu, nieopodal, naszą olszyną, gdzie mi znana każda ścieżka, każdy krzew, skradaliśmy się w nocy. Widziałem cichy nasz dworek, w oknie matczynem świecił ogieniek... O, jak mi się serce rwało, jak krwawiło, jakbym tu przybiegł do was, na jedną chwilę bodaj, jedno mgnienie oka, upaść do nóg, prosić waszego błogośławieństwa. Lecz pogoń szła tuż w ślad za nami, pofolgować sercu znaczyłoby sprowadzić zgubę niechybną na was, na siebie i na to nasze najdroższe gniazdko rodzinne. Na brzegu rzeki przygotowane czekały czółna, na szczęście księżyc schował się za chmury, cicho sunąc po czarnej toni niemnowej, dając unosić się jego prądowi, by uderzeniem wiosel nie zmącić ciszy, dosięgliśmy brzegu przeciwległego. Raz jeszcze wzrok tęskny zwróciłem ku ojczyznej zagrodzie, wśród mroku nocy wciąż świecił tam ogieniek, zdawał się wołać czy żegnać, co raz dalej... dalej... objął nas poszumem swym las nadniemeński...

W Preńskiej puszczy, w Augustowskim, gromadziły się oddziały litewskie, a raczej niedobitki Sendka, Lubicza, Ostoji, Mojżela, Czechowicza i Czudowskiego, tu po długim niewiedzeniu spotkałem braci, z których każdy w innej był partji. Zebrało się nas przeszło tysiąc, nawpół nadzy i bosi, kto z kosą, kto z drągami — zamiarem naszym było przedrzeć się do Giełgudyskich lasów, gdzie była ukryta broń, lecz droga tędy była odcięta, zewsząd napierała Moskwa, coraz ciasniejszym kołem: od strony Pren, z Marjampola i od Istaury ciągnęły ich pułki. Pozostawało: wydać bitwę — zwyciężyć lub umrzeć.

Nad szosą, co z Marjampola do Kowna prowadzi, jest miejscowość nazwana Buda: obszerna polana w koło otoczona ciemną ścianą lasów, środkiem przepływa rzeczka Wabalsznia. Tu stanęliśmy obozem. Ogni palić nam zabroniono, gdyż wróg był w pobliżu. Co chwila nadbiegał chłop lub baba, donosząc: Moskale o parę wiorst... o wiorstę. Leżeliśmy na wilgotnej roli, niektórzy trochę gałęzi lub mchu podłożyli pod głowę... nikt nie spał. Noc była chmurna, przed nami, szmerząc z cicha, płynął strumyk, za nami milcząca głąb puszczy. Czasem, gdy wiatr się zerwał, dziwny dreszcz przebiegał po konarach — i znowu cisza, wśród której wprawne ucho łowiło miarowy odgłos kroków, zbliżającego się wroga i ciężki turkot artylerji.

Tak upłynęła noc. Poczęło świtać, mgła gęsta zawisła nad polaną, zasłaniając nam wroga, który rozłożył się po przeciwnej stronie Wabalsznie. Stanęliśmy do boju, półkołem, gotowi bronić przeprawy. Zagrała wraza artylerja, kładąc pokotem przednie nasze szeregi. Aleśmy stali twardo, choć kule w koło gwizdały. Gdy mgła opadła, a słońce jesienne wzbilo się po nad lasem, ujrzeliśmy nieprzyjacielskie zastępy, w głębokich kolumnach, ciągnęły naraz ze stron kilku.

Pierwsi do ataku ruszyli dragoni, w bród przeszli rzeczka, aliści jak rzuca się na nich na-

*) Wszystkie tu przytoczone epizody z lat 1812—31—63 są ściśle historyczne w najdrobniejszych nawet szczegółach, przeważnie podług nieznanych i nieogłoszonych dotychczas drukiem pamiętników współczesnych, będących własnością autora, który ze swej strony ograniczył się na powiązaniu tych luźnych urywków w jedną całość na tle polskiej wigilji.

si kosynjerzy, powitanie było straszne: kosy śmigając, płatały jeźdźców na dwoje—od głowy do siódła.

Cośnęła się konnica, odsłaniając szeregi piechoty, która z bagnetem ruszyła na nas — dotrymalimy pola; pierś o pierś się starła: zgrzytnęło żelazo, woda Wabalkszni na czerwono się zatarbowała. Godzinę może opieraliśmy się przemocy, trzy razy Moskał szedł do ataku, trzy razy odparty, cofał się w nieładzie i bylibyśmy tak dłużej wytrwali, gdy nagle z tyłu gruchnęła salwa: to nowy oddział rosyjski nadszedł od Kowna, szosa, pod osłoną lasu, teraz rozwinął się szeroko na jego skraju, zamykając matnię, w której znaleźliśmy się nieopatrznie. Drgnęły nasze szeregi, wszczął się popłoch dziki. Oddział marjampolski, pod wodzą Sendka, raz jeszcze rzucił się ku mostowi, zawrzała krótką, zacięta walka—poległ wódz, obok jego padł brat mój, Tadeusz, przeszyty bagnetem, reszta pierzchła, gęsto zaściewając pole trupem. Drugi oddział, kowieński, ruszył przeciwko nowemu wrogowi, lecz otoczony, zdziśiatkowany, poddać się musiał — był tam brat drugi mój, Henryk. Ja, widząc ogólną klęskę, skrzyknąłem kilku kolegów, a wypatrywszy słabsze miejsce, natarliśmy z wściekłością desperatów. Pękła żelazna, otaczająca nas obręcz, pędziliśmy w stronę lasu, za nami w pogoń rzucił się oddział kozaków, słyszałem dzikie ich krzyki «stoż miatęznik! nie ujdiesz! łowi jewo! kolii!» Lecz zbawczy las był coraz bliżej, już, już ogarniał nas wilgotny cień jego, nagle usłyszałem tuż za sobą tętent, poczułem gorący oddech rozwartych chrapów końskich, błysnęła szabla... przeszył mnie ból ostry, jak gdyby czaszka pękła na dwoje, w oczach pociemniało — straciłem przytomność...

Gdy się zbudziłem, mrok nieprzenikniony otaczał mnie w koło. Lecz było ciepło i zaciśnie i gdyby nie przejmujący ból głowy, gdyby nie gorsza jeszcze niepewność, co się ze mną stało, najchętniejbym tak leżał o niczem nie myśląc do skończenia świata. Lecz niepokój i ciekawość przemogły osłabienie. Ostrożnie spróbowałem się podnieść, w tem głową uderzyłem o niskie, ceglane sklepienie — syknąłem z bólu i znowu wpadłem w zemdlenie...

Zbudził mnie blask latarki, rozwarłem nawpół przytomne, olśnione oczy: nad sobą ujrzałem nawpół zgietą, brodatą postać żyda, w długim łapserdaku. Położył palec na ustach, nakazując milczenie.

— Gdzie jestem i kto ty? spytałem szepem.

Nu, niech się panicz nie lęka, niech panicz leży spokojnie; ja jestem Icek-Smolarz, panicz leży w piecu smolnym, tu ciepło i bezpiecznie. Ja mam w puszczy dwadzieścia pieców, w każdym teraz leży powstaniec. Nu, ja za godzinę tu wrócę z moim szwagrem, Judką, on jest felczer, bardzo dobry felczer, on panicza opatrzy, będzie panicz zdrów; czemu nie? oj oj taki jeszcze młody, fajne panicz...

Dotrzymał słowa — za godzinę przyszedł z drugim żydem, który mi ranę przemył, obandażował. Ale pamiętam to jak przez sen zaledwo, gdyż ogarnęła mnie gorączka: zdawało mi się wciąż, że śród mroku widzę światełko rodzinnej zagrody, z początku niezmiernie dalekie, wciąż rosło w mej własnej duszy, wypełniając moją ciemnicę łagodnym blaskiem.

Jak długo leżałem w malignie—nie pomnę. W końcu zwyciężyły siły młode.

Gdy po raz pierwszy wypelzłem z mojej kryjówki, śnieg zaściewał ziemię. W koło stały milczące, niebotyczne sosny. Po przez gęstwą konarów, jak krew czerwona, jaśniała tarcza słoneczna. Olśniony tym blaskiem, przystąpiłem oczy, a usta spieczone piły nektar uroźnego powietrza.

Kilka tygodni jeszcze spędziłem w chatce smolarza, pielęgnowała mnie żona jego, młoda jeszcze, ładna kobieta, pojąc herbata i mlekiem koziem. Bachorki bawiły się ze mną.

W końcu, podleczonego należycie, w chłopkiem przebraniu, pożegnawszy mego zbawcę,

wyruszyłem w drogę. Odwiedziłem niedawne pobożowisko pod Budką. U skraju lasu stał świeży kurhan mogilny, na nim krzyż biały, sosnowy, ociekły krwawymi łzami żywicy. Ukłękłem, by zmówić pacierz za kolegów i brata, który tu spoczął we wspólnym, żołnierskim grobie.

Opodal stał drugi krzyż jeszcze, pochylony, nawpół spróchniały. Jak objaśniał mi wieśniak miejscowy, było to stare cmentarzysko powstańcze z roku 1831. Więc przypomniałem sobie opowieść babki, o stryjkę poległym, co gdzieś spoczywa śród puszczy, pod takim samym może bezimiennym krzyżem...

Tak pokolenia mijają, a każde w dani składa krew swoich synów i matek swych łzy...

Kiedyż, o Boże, ten kielich ofiarny wypełni się po brzegi?

*

*

I znowu minęło ćwierć wieku z górą.

W nadniemeńskim dworku wesoło na stole płonie lampa. Matka się krząta koło świątecznej zastawy. Ojciec niecierpliwie przez okno wygląda:

— Już siódma blisko. Pociąg o szóstej przychodzi. Ze stacji milka drogi, sanna wyśmienita, lada chwila muszą tu być.

A oto zabrzęczały dzwonki, psy się porwały i umilkły nagle, widać poznały swoich.

Hurmem do izby wpadają dzieci—tak, dla rodziców to zawsze jeszcze dzieci, choć starszy nosi sukienkę kapłańską, i drugi już chłop pod wąsem, dwa dziewczątka jak dwie jagódki bliźniacze i najmłodszy w szarym mundurku szkolnym.

Ile tam wrzawy, ile radości, pytań!

— Jeszcześ tu nie wszyscy, ani się spodziewacie, kochani rodzice, jakiegośmy wam przywieźli gościa.

W tej chwili w progu stanął mężczyzna lat średnich: postać wyniosła, choć przygarbiona nieco, włos siwy, wysokie czoło, przeorane w głębokie bruzdy. Zdziwionym okiem mierzy przybysza gospodarz, postąpił kroków kilka na spotkanie... rysy twarzy jak gdyby znajome, jak gdyby kiedyś, dawno, we śnie widziane...

— Przyjechałem zdaleka przekonać się, czy u pana brata starym zwyczajem znajdzie się jeszcze jedno miejsce przy wigilijnym stole dla «Zagórskiego?»

— Bracie Henryku!

— Tak, to ja, Henryk, brat twój, sybirak.

— I wyobraź, tatko, od samego Wilna jechaliśmy ze strykiem w jednym przedziale, nie znając się na wzajem. Dopiero w ostatniej chwili wydało się.

— Nic dziwnego, słyszę jak ci młodzi wciąż wspominają nasz drogi zaścianek. Najprzód uszom własnym wierzyć nie chciałem, następnie odważyłem się zapytać i tak słowo za słowem wszystko się wyjaśniło.

— I przyjechał strykieć do nas, i już nas więcej nie opuści? Prawda?

— Bóg zapłać wam, moi drodzy, Bóg zapłać.

Gospodarz w drżące ręce ujął tradycyjny opłatek, a gdy się zbliżył do brata, temu lżą zabłysło oko, wzrokiem rzewnym objął całe to serdeczne grono:

— Błogosławionaś ty—rzecz—rodzino polska; jak te olchy nasze i wierzyby, tam nad brzegiem Niemna, chociaż je bezlitosna ogłowi siekiera, chociaż im serce krwią się zaleje—z przyszlą wiosną nowe, bujne puszcza pędy... Tylko te, ucięte gałązki, już więcej się nie zazielenia, prąd je uniesie, lub, zeschłe, wiatr je rozmiecie po błoniach...

— Tak, bracie, stoimy na straży tej ziemi, którą potok zdradziecki co roku z pod stóp naszych podmywa. Tylko nie sądź, że łatwa to służba. Ten oto, rodzinny nasz zakątek — nie mój... zabrano go nam po powstaniu, jam tu tylko dzierżawcą. Takie jasne chwile, jak obecna, w ukochanych gronie są tylko zapłata za wiele, wiele ciężkich doświadczeń: patrz, oto najstarszy nasz syn — poświęciliśmy go służbie Bożej — za zwykłe wypełnienie obowiązku, za

ochrzczenie niemowlęcia, skazany na dalekie wygnanie. Ledwo otrzymał pozwolenie przed wyjazdem spędzić to święto ze starymi rodzicami, których już może w życiu więcej nie zobaczy. A oto drugi, inżynier, próżno w kraju najskromniejszej szukał posady, w tych dniach wyjeżdża gdzieś na koniec świata—za chlebem. Najmłodszy ze szkół wygnany z «wilczym biletem» za to, że się ośmielił do kolegi odezwać w ojczystej mowie.

— A jednak, bracie, cóż znaczą te wasze drobne troski, cierpienia, w porównaniu z tem, cośmy przeżyli! Pamiętam — był wtedy także wieczór wigilijny—mróz trzaskający, szliomy dźwięgi, długą drogą, podobni do mar potępieńczych śród mroku. Głuche, ciężkie milczenie przerywał tylko suchy zgrzyt kajdan. Dano nam spocząć chwilę pod słupem przydrożnym: «Tu—rzecze солдат z konwoju — granica Syberji». Spojrzałem wstecz, wzrokiem chciałem przebić ciemność nocy i dal nieskończoną, myśl moja biegła do kraju rodzinnego, do swoich, oczyma duszy widziałem was tu, jak dziś zebranych przy wigilijnym stole, ukochanych rodziców, co spoczęli tam, na naszym cmentarzu. O! co się wtedy w piersi mojej działo, tego żadne usta wypowiedzieć nie są w stanie. Chciałem spojrzeć przed siebie — zabrakło mi odwagi... a jednak przebyć ją musiałem tę drogę krzyżową, etap po etapie, lata katongi, poniżenia i hańbe chłosty...

Nie dokończył... najmłodszy chłopak zerwał się z krzesła i usta gorące przyciskając do pomarszczonej dłoni jego, pyta:

— Jakżeś ty to mógł przetrwać, stryjkę?

Staremu z pod siwych, krzaczystych brwi dziwnie błysnęło oko, a kładąc rękę na głowie bratanka:

— Pamiętaj, chłopcze, że Polak wszystko przetrwa. Nie wiecie jeszcze co dzień jutrzejszy kryje, lecz to pewne: cokolwiek sądzono — nie zginęła i nie zginie, dopóty, dopóty...

Tu młody kapłan podniósł bladą, natchnioną twarz i głosem pewnym dokończył zdanie:

— Dopóki w sercach wiara i miłość, dopóki Polak z Polakiem, jak brat z bratem, dzielić się będą święconym opłatkami w ten wieczór wigilijny.

— Amen — odrzekli chórem obecni i cisza uroczysta zaległa pokój.

*

*

*

Na skraju lasu, w noc ciemną, grudniową, stał żołnierz — legionista.

Stał wsparty na broni, a myśl jego tęskna, przez wrocie szeregi, przez okopy, lasy i pola biegła ku cichej, nadniemeńskiej zagrodzie, gdzie w jasnej, ciepłej izdebce, starzy rodzice w tej chwili, dzieląc się opłatkami, jego wspominają.

Mróz siarczysty przejmuje do szpiku kości i zdało się żołnierzowi, że stoi tu na straży niezmiernie długo, wiek cały... może więcej... a potem na myśl mu przyszło, że ta noc zimowa, chyba się nigdy nie skończy. Wzrok palający utkwiał w mrocznej, beznadziejnej dali — tam na czarnem nieba sklepieniu wicher gnał fantastyczne chmur cielska, kłębił je na kształt gór, to znowu rozdzierał ich ciemną kotarę, aż w tem jedna, jedyna zabłysła gwiazdka...

Więc żołnierz ku niej wyciągnął błagalne dłonie:

— Gwiazdko! coś bezbronnych pasterzy, coś królów i mocarzy przywiodła do cichej stajenki, gdzie w żłobku, na sianie leżał Pan świata, ty nas wyprowadzisz z mroków tej nocy, ty jedna, betleemska gwiazdo...

Lecz gwiazdka wysoko, wysoko świeciła, jej błady promyczek walczyć się zdawał z chmur ciemnych oponą, co ją przesłonić chciały oku stęsknionemu.

Na ziemi szalała śnieżna wichura...

Jan Obst.

Wilno, 24 grudnia 1916 r.

